Czytająca runy: - Tylko powrót do natury nas uratuje

data aktualizacji: 2020.05.19 autor: Włodzimierz Szczepański



(fot. Włodzimierz Szczepański)

Zlot szeptuch, wiedunek, znachorek w Wielki Szabat został odwołany. Nawet one postanowiły nie igrać z epidemią. Jedna z nich czytająca runy, Katarzyna Miłochna Mikulska tłumaczy, że tylko powrót do natury nas uratuje.

Ostatnie gospodarstwo pod lasem, adres Maków pod Skierniewicami. Na płocie widać plakietki z drewna, na jednej wypalono napis – W Miejskiej Kniei. Obok starej stodoły, pod płotem, liście do słońca wystawia rdestowiec. Mówią na niego polski bambus. Mama Irenka gotuje z niego konfitury. W smaku? Jak rabarbar – ciągnie się, podobnej konsystencji i tak samo delikatny.

– Służby zalecają z nim walczyć, bo to przywleczona roślina, chwast, a my zjadamy dzikusa – śmieje się Katarzyna.



Stara stodoła wśród sosen to siedziba szkoły przetrwania, akademii zielarstwa, uniwersytet pogańskiej magii. Skrywa na słupach podwieszone pęki roślin. Po lewej rząd ław. Na jednej z nich suszy się czosnaczek pospolity. Po prawej posłania wzorem Biskupina. To miejsce zna wiele osób w Polsce. Najlepiej, gdy poszukujący natury sami tutaj trafią.

– Kiedyś nas opisano w „Przekroju", wówczas zjechało do nas wielu… – Katarzyna szuka w głowie odpowiedniego określenia. – To jest hipsterskie czasopismo i przyjechali do mnie ludzie, dla których pobyt tutaj był, jak odhaczenie punktu na kartce. Wrzucenie fotki na Instagram, a nie przeżycie. Wyjechali zadowoleni, ale ja bardzo się namęczyłam.

> Pod Skierniewice przyjeżdżają „friki" (zakręceni) z całego kraju – ludzie z miasta złaknieni kontaktu z naturą. Ci, co chcą nauczyć się korzystać z jej darów znajdują ten adres.

– Obserwuję ich zachowania podczas warsztatów. Na początku spieszą się, jak to w mieście, a potem natura robi swoje. Z czasem widzę, że potrzebują czasu, aby pobyć samemu. Chodzą na spacery. Wrażliwość na środowisko jest niezależna od płci – opowiada.

Za stodołą zaczyna się las. Tu prowadzi warsztaty z rękodzieła, uczy rozpoznawania roślin jadalnych.

Tutaj podczas kilkudniowego pobytu trzeba zdobyć jedzenie i je ugotować. Bushcraft czy preppering nie polega na codziennym rąbaniu drewna, ale trzeba sobie ugotować, zrobić posłanie, zapewnić ciepło. I mężczyźni musieli się tego nauczyć.

– Te projekt zaczęłam razem z moim byłym partnerem. Na początku w grupie miałam facetów, takich „pudzianów", co to chcieli sprawdzić się w dziczy – opowiada.

– Kobiety są odporniejsze psychicznie od mężczyzn – mówi.



W ciągu pięciu lat z zajęć „Siedem dni w lesie" zrezygnowało 19 uczestników, w tym tylko dwie kobiety. Katarzyna po doświadczeniach prowadzenia szkoły postanowiła tworzyć grupy tylko dla kobiet.
– W grupie kobiet natychmiast następuje podział ról. Jest przywódczyni, potem osoba, która potrafi żartem rozładować napiętą sytuację. W grupie znajdzie się też ta, którą trzeba się opiekować – opowiada Katarzyna.

Po maturze wyjechała z Makowa na studia. Jedną z pierwszych obserwacji było, że wielu jej znajomych nie umie gotować.

– Nie znali na przykład zupy z lebiody, nie wiedzieli, jak smakuje chrzanowa. Nie znali potraw regionalnych. Z sąsiednim pokojem w akademiku wpadliśmy na pomysł obiadów czwartkowych. – opowiada.



Lista, gdzie w trakcie studiów się udzielała jest długa. Chociażby, jako wolontariusz u Ojców Bonifratrów, bo ziołolecznictwo ciągle ją absorbowało. W ramach współpracy z NGO (organizacjami pozarządowymi) jeździła po całej Polsce. Prowadziła zajęcia edukacyjne i animacyjne.

Sama utrzymywała się na studiach. Wtedy jeszcze myślała, że zostanie w mieście, ale zaczęła się nim męczyć.

– Pośpiech, praca w markecie, gdzie źle traktowano dobrego pracownika… A ja jestem Kaśką upartą. Jak się mi wydaje polecenia, z którymi się nie zgadzam, to nie wykonam swoich zadań z sercem – opowiada.

Zaczęła analizować, co chce robić, szukać, co w niej drzemie. Zawsze wracała do rodzinnego domu, nie tylko miejsca, ale też natury.

> Pamiętam ten moment w wynajętym mieszkaniu przy Piotrkowskiej w Łodzi. Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że jestem potwornie zmęczona. Za chwilkę miałam pójść do marketu na osiem godzin bezproduktywnej pracy. Analizowałam, ile w tym czasie mogłabym zrobić. Stwierdziłam, że marnuję czas.

W grudniu 2013 napisała wypowiedzenie i wróciła do Makowa. Jej tato wieść przyjął ze spokojem – dobrze.
– A mama… przez cały weekend mi biadoliła. Skąd pieniądze? Jak się utrzymam, a przecież opłaty. A teraz jest moją… księgową – Katarzyna wybucha śmiechem.

8 stycznia 2014 założyła firmę W Miejskiej Kniei. Do rodzinnej miejscowości wróciła na stałe w kwietniu.

– Stwierdziłam, że tutaj zacznę. Z tatą złotą rączką ruszył remont starej stodoły. Tutaj wreszcie mogłam w pełni zrealizować program zbierania i przygotowania potraw z dziko rosnących roślin – opowiada.



A teraz...

– Ludzie do mnie dzwonią i pytają o różne rzeczy. Okazuje się, że zatracili umiejętność przetwarzania żywności. Chcą uciekać z bloków, kupować, gospodarstwa, działki. Tracą pracę, wielu ekonomicznie nie wytrzymuje obecnej sytuacji. Stąd zwracają się do natury, zaczynają interesować dzikimi roślinami jadalnymi. A przy tym szukają duchowości – komentuje.

Od kilku lat organizuje zlot szeptuch, wiedunek, znachorek. W tym roku zlot wypadł w Wielki Szabat na przełomie lipca i sierpnia, aby uczcić Święto Plonów. Został jednak odwołany z powodu epidemii. Katarzyna Miłochna Mikulska czyta runy.

– Idę przez las i widzę gałęzie, szyszki, które układają się w dany symbol. Wiem, co matka-natura chce mi powiedzieć – przekonuje.

Mówi, że jest poganką. W jej ocenie w ludziach budzi się pragnienie powrotu do dawnych zwyczajów

i do natury. Zwłaszcza teraz, gdy przyszedł ciężki czas pandemii koronawirusa.

Źródło: https://eglos.pl/aktualnosci/item/35640-czytajaca-runy-tylko-powrot-do-natury-nas-uratuje